

Marian Szelaǳ

Sygnatura notacji: **N0449**

Data urodzenia: **23.08.1937 r.**

Data nagrania: **17.09.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Dom  wiadka, Radonice, Polska**

Prowadzca/y rozmow: **Gabriel Janowski**

Czas nagrania: **43 min**

Format nagrania: **video**

Jzyk nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZTEK NAGRANIA]

Marian Szela : Marian Szela , urodzony 23.09.1937. Jest to w tak zwane Podwierzbie, powiat Garwolin. No i tam mieszkałem od urodzenia do 1948 roku. W 1948 roku rodzice, ojciec kupił, zmienił tamto gospodarstwo na to gospodarstwo, które tutaj, jeste my teraz w Radonicach. W ten czas miałem 11 lat, jak tu przyjechalmy. No i co, wic to były czasy takie nie bardzo, bo to była komuna mocna. W tym czasie trzeba było zboże oddawać, wszystkie takie... Na Warszaw trzeba było oddawać jakies tam pieniżki, jeszcze jakies fundamenty, które wracali potem w jakies bony. Ale wracali to tak, powiedzmy, minimalnie odwłoka, że to było. To było na wspomaganie odbudowy Warszawy w ten czas po powstaniu. No i dalej gospodarstwo, to było pźniej prowadzone gospodarstwo, gospodarstwo było takie typowe rolnicze. Ziemniak, zboża i marchew, buraczek, cukinia bya te taka robiona, bo to były takie rozmaite, żeby jakoś można było na tym żyć. No przez jakis czas to było robione. Pźniej, no z wiekiem czasu, to było powiedzmy, jak ja ju chodziłem do szkoły, ukończyłem tę siódm klas, bo potem jeszcze robiłem takie szkoły średnie, to znaczy takie ogrodnicze szkoły, teraz mechaniczn, to było w Teresinie. Taki prowadził pan Nowicki, taki był nasz przewodniczący, który tam prowadził wtenczas nas. Wtenczas zaczęło się tak troch wicej gospodarstwo rozwijać nasze, ze wzgldu na to, że troch zdobyłem tej wiedzy, powiedzmy tak troch  wiatowej, w tych udziałach rozmaitych, które były potrzebne. To potem był tak: robiony len, duo lnu było robione na Źyrardów, które było dostarczane, ale to było rwane rcznie, to w ten czas było duo osb potrzebnych, bo w ten czas byli ludzie do pracy, bo nie mieli innych zajc. To było takie dochodowe najbardziej gospodarstwo. Pźniej bya tak dua ilo c  win na kontrakt. Tutaj było tam do 15 krw dojnych te. To był te taki dochd gospodarczy. No rodzice te, ojciec, no tam te byli starej daty po prostu, jak się mówi, był po trzech klasach szkoły podstawowej tylko. Mama bya po dwch klasach podstawowej tej szkoły. No ale radzili sobie, powiedzmy, jakoś sobie tego układali i prowadzili to. Pźniej, jak ja ju...

Kilka lat ładnych to potrwało, to takie gospodarstwo, takie z rodzicami byłem cały czas, im pomagałem, choć może tu robiłem, tam robiłem, to uzupełnienia w doradztwie w ogrodnictwie, w mechanice. To potrwało dość długo, aż do lat... sześćdziesiątych, siedemdziesiątych prawie. To było dosyć, dosyć to długo trwało. Później ja po tej szkole, po wszystkim, byłem tak zwanym plantatorem nasiennictwa. Robiłem duże plantacje, jak już wszedłem na swoje gospodarstwo, potem jak się ożeniłem, to wszedłem przez swoje, to duże robiłem gospodarstwo nasiennictwa. Robiłem cebulę, pietruszkę, i ogórek. No więc to było wspaniałe, dzisiaj to wszystko za to stoi, jak widać. To były czasy siedemdziesiąte, osiemdziesiąte. Do 1985, do tych lat tak było, to były takie dochody. To były dochody, które dzisiaj nie mam i długo nie będę miał takich dochodów. Potem przyszły lata osiemdziesiąte. Co się stało? Że zaczął się tworzyć taki ruch w Polsce, żeby coś się odmieniło. No i więc przyjechał do mnie Gabriel Janowski, znany dobrze, z dzieciennych lat, znaliśmy się, no i mówi tak: „Słuchaj, byłem u sąsiada, ale go nie ma, u Mariana Wiaka”. Ja mówię: „No nie wiem. – To wiesz co, powiem ci, co mam na myśli. Chcielibyśmy założyć związek rolników indywidualnych. – No dlaczego nie?” Przyjechał, to zaraz my wsiedli w samochód. Pojechaliśmy tu w parę miejsc, które tak uważałem, żeśmy byli. No w jednym żeśmy zastali, w drugim nie. Ale to ja w tygodniu akurat tych, co nie było, to akurat powiadomiłem. Potem żeśmy jeszcze pojechali na Wolę, do Wojtka Młynarskiego. Ale oni tam byli trochę tacy rządowcy, trochę tego i w końcu oni nas zepchnęli stamtąd. Jak nas zepchnęli, no to dobra. Potem Gabryś mówi tak: „Wiesz co, pojedziemy, jak tu mówię, zrobię taką wycieczkę i pojedziemy do Wierzchosławic na grób Witosa. – No nie ma problemu”. A miałem, jeszcze miałem taki samochód z ambasady amerykańskiej na żółtych numerach. Nikt nas nigdzie nie zatrzymywał. To samochód był jeszcze pancerny, tak że by ktoś strzelał, to by nas nie postrzelił. No i jak my jechali, to władawaliśmy tam w kufry tych ulotek. Ja nie wiem, ile tam było, tam dwóch chłopów by weszło, wtedy w bagaż tych ulotek. No i jadąc po drodze przystanki, mleczarze gdzieś były, jakieś coś były. I to wszystko, żeśmy rozdawali. No i potem co, dotarliśmy do tych Wierzchosławic. Przywitanie było zaskakujące: występy, coś nadzwyczajnego, żeśmy się poczuli tak, jakbyśmy byli w domu. No i tam rozmowy były prowadzone na tamte tematy w taki czy inny sposób. Ale Gabriel mówi tak: „Wiesz co, tam mamy te ulotki, tam w samochodzie jeszcze, to weź i to rozdaj”. No ja poszedłem do samochodu, to rozdaję jednemu, drugiemu. „Ale autograf, panie, pan autograf da”. No co, daję ten autograf. No i potem żeśmy się rozjechali, w ten czas chyba w Warszawie wysiadaliśmy, myśmy przyjechali z Marianem do domu, wtenczas akurat. No przyjechaliśmy normalnie, bez niczego jakoś było. Później... Jak to było? A, później żebyśmy... Żebyśmy tego... Jakoś zebrać, tu nas więcej było. Żebyśmy się po tego... No to żeśmy tak... Marian... Bo Mariana uruchomiłem wtenczas Wiaka. Uruchomiłem tego... Witek, jak on się nazywał – Sieklicki. Sieklickiego, no i on tam potem Wierzbickiego, tam innych, tam dalej, tam znowu z Leszna powiadomili, tak że się zebrało tych chłopów, osiem. No potem do Warszawy, żeśmy poszli na ten, to było w Sali Kongresowej i wtenczas zrobiliśmy takie najście, powiedzmy, a było nas ze 60 chłopów. No i to była rozmowa, prawda, tego tam. To skończyli, Gabriel wyszedł. No i przemowę tam chciał robić, tego, zgasili, światło wyłączyli wszystko, nie ma nic. Gabriel był zabezpieczony, bo miał mikrofon z sobą. No i nie wiem, po jakimś czasie włączyli chyba. Nie, nie włączyli. Jednak przez to było mówione, tak. No i... Ten, co przemawiał, nie wiem, co to był za minister, co to za jeden był. W końcu odszedł z tego, zostawił nas. No i my żeśmy co? Rozmawiali, radzili co tam więcej potrzeba, kiedy mamy się gdzie spotkać, czy coś. No i potem żeśmy robili różne takie spotkania. Powiedzmy w Błoniu, w Zakroczymiu było to robione też takie spotkanie. W Warszawie myślę, że było... Później w Warszawie byliśmy na placu, to było wtenczas... Ksiądz Stasiu taki na platformie ogłaszał, że nas przyjęto do związku, czy coś. Tak było w tym rodzaju. No więc już byliśmy zadowoleni. Każdy do góry skakał, że to już jest coś, co poszło do przodu. Później założenie było tego związku, do związku

trzeba było jakiś samochód, żeby coś było. Więc wtenczas Wiak miał samochód. Ja też miałem, ale to był za ciężki samochód, za dużo palił, to była maszyna, która ważyła 4 tony. To był taki olbrzym. I on dał wtenczas samochodu. To był rok 1981 chyba. Bo w 1980 roku to myśmy jeździli tutaj i działali blisko cały czas. Powiedzmy, bo objechaliśmy Garwolin, bo objechaliśmy ten... zresztą jeszcze tam i takich innych. O, obaj byliśmy w Częstochowie wtenczas też. To właśnie co byliśmy. Tak żeśmy tu objeździli dosyć tego, żeby zabrać potem jak będzie potrzeba, żeby to tych naszych członków było jak najwięcej. No i potem nawet ci, co znowu, że myśmy ich potem pozgłaszali, to oni znowu rozgłosili. Takim pantoflem ładnie to wszystko się zebrało, że po prostu nie do pomyślenia. Potem w Błoniu było to zebranie, tam przyjechał chyba Jabłoński minister, coś takiego mi się wydawało. No i tam gadał, gadał, ale weszli wszyscy z naszej, tego, nie dali mu rozmawiać, wytknęli mu wszystkie błędy, co robił, co tego. No więc uspokoiło się, przeszło to. Później po tym jeździ, co to był samochód, a jeździ, co je... To raczej dla związku dał ten samochód. Tak, bo to Marian wszedł, ten Wiak, to dał ten samochód i jeździł. No i potem chcieliśmy jakoś się złożyć, bo jeden nie będzie dawał samochodu. No to we trzech śmy się złożyli: Sieklicki, Wiak i ja. Tośmy kupili samochód, Fiata, tu wtenczas, dużego dla tego związku. No jakśmy kupili tego Fiata, no to już w ten czas było tego, ale jeszcze potem, jak było, potrzeba było Żuka, bo tego Żuka to Wiak tam nieraz dawał. No na przykład już później, w stanie wojennym jak było, to ten Żuk, to było na Królewskim Placu tutaj wtenczas, on był załadowany wszystkim, ja nie wiedziałem czym. Marian Wiak mówi: „Marian jeźdź, ja tak się dziś nie czuję dobrze, jeźdźcie”. A tu armaty stoją, czołgi stoją na jezdniach. No ja wsiałem i ze mną ksiądz, który tam, który miał, tośmy jechali do Zwolenia, za Łódź. Tam aż pojechaliśmy. Bo to był Zwoleń, za Łodzią, gdzieś ze 30 kilometrów tak jeszcze za Łodzią. No i jedziemy. Dojechaliśmy do Paprotni, zatrzymują nas. Zatrzymują nas idzie do mnie z tego posterunku. „Niech pan pozwoli. Pan zobaczy, te światełka, nie tak trochę pan ma”. A to w tym czasie śnieg padał, trochę zachlapał mi. No to przetarłem te światełka. „No to teraz dobrze, niech pan jedzie”. Jedziemy, dojechaliśmy do Łowicza. W Łowiczu jest szlaban. Nie ma przejazdu. Doszli do nas. Ksiądz im pokazuje tam jakąś tam, miał jakieś upoważnienie, coś im pokazuje. Coś tam się radzili, radzili. No jeszcze jeden przychodzi, otwiera: „Jedźcie”. To żeśmy pojechali. Dojechaliśmy do Łodzi. Te uliczki to po prostu tylko na wóz furmankowy takie były. Jak się źle wjechało, to trzeba było wjechać do tego. Ale nam się tak udało, żeśmy przejechali tę Łódź jakoś dobrze. I później ksiądz mówił: „No teraz w tę miejscowość, do tego Sieradza”. Tam śmy dojechali, to już było tak, ja wiem, godzina gdzieś po południu. Nie mógł ksiądz odnaleźć tego punktu, który tam miał być. Kręciliśmy się, jeździliśmy koło tego. No jeszcze któryś chyba... Poszedł ksiądz do kościoła, chyba tam niedaleko był kościół, poszedł do kościoła no i tam dostał informację. No i tam podjechaliśmy, rozładowaliśmy, co mieliśmy na tym Żuku. No i z powrotem się wrócili. Z powrotem jakśmy wrócili, nikt nas nie zatrzymywał, nikt, absolutnie nikt. I ten ksiądz mówi tak: „To wiesz co, zostaw mnie tutaj, w Błoniu na stacji, to ja se pojedę do Warszawy pociągami, a ty jeźdź już do domu”. No i tak żeśmy się rozstali w ten sposób. No a później, no co, później jak już w tym stanie wojennym, to tak, ja byłem internowany. Tam znowu kilku było internowanych, to my tu, co na dole żeśmy zostali, no to robiliśmy takie składki i na żywność tam, żeśmy rozmaite wędliny i to wszystko, to myśmy dostarczali tam, żeby mieli z czym przeżyć. No to trwało, no trwało, aż powiedzmy, to dosyć długo, no to zanim...

Czy pamiętasz jak Ty i Marian przywoziliście tę żywność właśnie do tego kościelnego komitetu pomocy na Miodowej, a później oni jeszcze rozwozili tam dla potrzebujących?

Marian Szelaq: W ten czas to już rozwozili ci, co tam organizacje mieli wyższe, a my, tylko śmy dostarczali.

A jak został Marian Wiak aresztowany?

Marian Szelaq: To... aha... Tak, on, jego... O pojechał na pole, akurat przyjechali po niego, po Mariana Wiaka. Ale on miał wtenczas akurat takich pracowników, którzy tam pracowali u niego. Staęli w bramie: „Jak będą jechać, to my zatrzymamy!” Marian niewiele myśląc, przez płot tu przyleciał do mnie. Mówi: „Weź mnie w samochód i wywieź gdzieś”. No to go wziętem w samochód i go wywiozłem, tam, powiedzmy, w to miejsce, tam gdzie chciał. No i sobie przyjechałem, no i tego. Ale później złapali go i był chyba z miesiąc czasu trzymany, ale go wypuścili i się to skończyło. Tylko, że, ale go śledzili, cały czas go potem śledzili. Natomiast mnie to tak śledzili, że przyjechał samochód, Nyska cała, ja myślałem, że to policja, która do mnie zawsze przyjeżdża, bo jak gdzie i coś potrzeba, to „do Marianna jedziemy i dobra”. Lubieli sobie zawsze pogościć się. No ja z pola przyjeżdżam, oni wysiedli, stoją. „Pan Szelaq Marian?” Ja mówię: „– Tak. – Tu mamy nakaz tego...” Jakieś mam kolportaż, coś tam, tego prawda. Ja mówię: „To proszę, sprawdzajcie to”. To prokurator był z nimi. Później... Ja byłem w tamtym budynku jeszcze, tam było takie podzielenie. To ten prokurator zostawił to mieszkanie do siebie, a tych powysyłał po magazynie, wszędzie. Ten dom jeszcze nie stał. To po magazynie tam oni szukali, przewracali. Żonę tam zawołali, żeby im pokazywała, gdzie coś otworzyć, coś tego. No nie znaleźli nic. No i co, później tamci, co tam szukali, to mówią tak: „To my to jeszcze zobaczymy”. A prokurator mówi: „Nie, nie, ja już tu byłem”. A ja tam miałem takie sobie, jak to się mówi, te wspomaganie do życia. No i on tak mnie uratował trochę, mogę powiedzieć. I co później, za jakiś czas, on mnie poprosił, żebym go tym samochodem zawiózł na ślub do Warszawy. No i zawiózłem go, bardzo chętnie zawiózłem, bo był przyzwoity człowiek. I co, jeszcze mnie zaprosił na wesele. No i na tym się właśnie tak skończyło. Później przyjeżdżał taki Jaworski. Nie wiem skąd on był, to był z jakiegoś tego... On tak najpierw to chciał ze mnie konfidenta zrobić, coś takiego. Bo nie wiem czy tu i z naszych któryś, co myśmy byli pierwszy raz, od pierwszego, czy on nie był konfidentem, bo ja nie byłem i on wiedział wszystko, że ja nie byłem na tym zebraniu. Bo za jakiś czas przyjechał do mnie: „No, no co tam słycać?” Ja mówię: „Ja nie byłem. – A ja wiem, że nie byłeś”. No skąd mógł wiedzieć? To były jednak tego. No później, jak już się te zmiany potem, po tej, jak już się zrobiła ta... jak to się mówi, ja mówię wojna, nie wojna, tylko ten...

Stan wojenny.

Marian Szelaq: Stan wojenny, o właśnie. Z tym stanem wojennym, jak się zrobił, no... Tak, bo uciekło z głowy. – To było w okresie stanu wojennego, przywoziliście tę żywność tam do Warszawy, na Miodową. Później były, pamiętasz, te uroczystości związane z rejestracją związku, kiedy też nas, 12 maja, kiedy nas, że tak powiem, też tam mocno prześladowali. No i później były te dożynki pierwsze w Częstochowie też, zorganizowane były. – No i co? – Duszpasterstwo rolników, pamiętasz? Się udzielałiśmy. Były święcone pola. Robiliśmy takie, pamiętasz, dożynki lokalne. – Tak, tak, tak. Dożynki, żeśmy pierwsze robili, to pierwsze dożynki, które były, to żeśmy robili koło kościoła. Bo to nie było, ale na terenie kościoła moglibyśmy zrobić. To chyba ze 2–3 lata, wcześniej już byśmy robili, przed 1981 rokiem. Potem, żeśmy się poczuli lepiej, potrzebna była bryczka, konie. Ja załatwiłem tę bryczkę, pamiętam, że z naczelnikiem gminy jeździłem. Tę bryczkę załatwiłem w Warszawie, a on miał tutaj gospodarkę, gdzieś na Piorunowie. No i tę bryczkę nam pozwolił, żeby dał do tego, żeby sobie wziąć i jechać na dożynki. I Ty mówisz: „Marian – mówisz tak, Gabriel do mnie mówi: – Weź, byś zorganizował”. Ja mówię: „No postaram się, zobaczę”. Z Grodziska przyjechało, ja wiem, że sześć, takie resorówki, takie coś, to wtenczas były wygodne, bardziej te wozy takie, bo to były na resorach,

tak zwane resorówki. I wtenczas przyjechało. I te zdjęcia są, bo mi kiedyś nasz kościelny, który jest, widział, mówi: „Panie Marianie, ja pana widziałem, pan taki chłopaczek na tych zdjęciach, jak żeście jechali, na tych dożynkach”.

Powiedz o święceniu pól też. O święceniu pól, organizowaliśmy nas tam też prześladowano.

Marian Szelaq: Tak, no właśnie, to było zawsze w maju. W maju było. My jeździliśmy na święcenie pól. Ksiądz Kniołek, to było za księdza Kniołka, on był bardzo taki po prostu chętny do takich spraw jak my, co żeśmy prowadzili. I zorganizowaliśmy właśnie te wozy, to wszystko. I pojechalśmy przez... Błonie... nie Błonie, tam, te łąki, to Radonice, Piorunów, Konstantów do... żeśmy się zatrzymali aż w Bożej Woli. Zresztą do samej Bożej Woli dojechali tam.

Pamiętasz, kamienie ustawialiśmy na pamiątkę tego święcenia. Duże, takie głazy. I one są jeszcze teraz.

Marian Szelaq: A tak, tak. A są, tak. Pierwszy kamień, który jest tutaj w Radonicach, to my żeśmy oba z Wiakiem postawili ten kamień. Później drugi był stawiany, nie wiem, to był w Faszczycach czy w Bieniewicach postawiony, potem dalej znowu był postawiony kamień. Ja jeszcze w Bieniewicach stawiałem, ale tam dalej to nie wiem, kto stawiał. Ale były te kamienie na znak, że tam po prostu byliśmy. I to wtenczas te święcenia były, to tam, gdzie te kamienie były, tośmy objeżdżali wszędzie, aż do samej Bożej Woli tam. Bo w Bożej Woli ksiądz Kniołek tam otworzył ten kościół wtenczas chyba. No i każdy się potem rozjechał, no już było prawie ciemno, bo to się pojechało, prawda, to było konno, jak konna jazda, to nie były tam pojazdy, tylko konna jazda. Później co roku było powtarzane. Co roku było powtarzane. No i jeszcze co, w Błoniu żeśmy robili takie dożynki. Ostatnie dożynki, które żeśmy robili, to robiliśmy koło Pałacu Kultury. Koło tego, Domu Kultury. Ja tam zorganizowałem orkiestrę taką. Jeszcze pomogłem, tam nas było w ten czas chyba ze 4 osoby, żeśmy robili, ty też byłeś, Gabriel też był. Marian był, jeszcze chyba jakiś, Polak był. Myśmy pojechali do rzeźnika, kupiliśmy kiełbasę na grilla, żeby zrobić grilla, zabawa, bierz z grilla. Dostałem zezwolenie od gminy, żeby postawić samochód z napojami. Ja mówię: „– A piwo, jak będzie? – Dobra, niech będzie”. No i te napoje i to piwo, wszystko było. Byli zadowoleni wszyscy i pytali się, czy na drugi rok to samo zrobimy. A na drugi rok to już gmina chyba się tu wzięła trochę za to. Nie przypominam sobie dobrze, wiem, że w drugi rok to wtenczas już była gmina, weszła gmina, wzięła, no i robili też, nie powiem, bo też tam byli, tam księża, msze się odprawiały, wszystko. Zawsze przyjeżdżał biskup... Jak on się nazywał, ten biskup...? No trudno, ale on zawsze przyjeżdżał, ten sam biskup przyjeżdżał, bo oni byli znani z naszym proboszczem. Znaczący nie z tym proboszczem, a z tamtym. Proboszcz... No wyszedł mi z głowy, muszę powiedzieć, że uciekł.

Wolski.

Marian Szelaq: Wolski, tak. No też to prowadził, był, ale on długo nie był, jakoś tam potem gdzieś się wymienili. No i teraz potem co roku, czyli do dzisiejszego dnia te dożynki mamy w Błoniu cały czas. Co roku są.

Pamiętasz, były też organizowane takie spotkania duszpasterskie? W Błoniu zaczęliśmy tworzyć te duszpasterskie wspólnoty rolników i kręgi pomocy wzajemnej. W tej parafii to się rozpoczęło,

a później na całą Polskę się rozszerzyło.

Marian Szeląg: To było takie jeszcze prowadzenie duszpasterstwa rolników, tak? To było takie dosyć powszechne wszędzie i wtenczas była taka łączność duża.

Między ludźmi właśnie. Ale to było też wbrew władzy, bo tam się spotykaliśmy.

Marian Szeląg: A no tak, właśnie.

W ramach ulotki się rozdawało, pamiętasz?

Marian Szeląg: To tak, to właśnie w ten czas się robiło, tak żeby między nami to by zostało, a nie ten, kto był przeciwny.

A gdzie te spotkania się odbywały najczęściej?

Marian Szeląg: Najczęściej się spotykali w...

W sali parafialnej.

Marian Szeląg: Tak, w sali katechetycznej parafialnej. No jeszcze, jak żeśmy we trzech, my coś zaopatrywali, w żywność, wędliny, inne tam potrzeby nabiałowe, to w ten czas byliśmy tak: ja jako Szeląg Marian, Wiak Marian, i jako Sieklicki. My we trzech żeśmy organizowali to, a najwięcej był dowózcą tym, co jak myśmy zrobili tutaj, to Wiak Marian, to dowoził na Miodową. No i wtenczas z Miodowej to był już tam ktoś, kto odpowiedzialny był, resztę rozprowadzał. Natomiast, co chodzi do tego samochodu paliwo, to my żeśmy tutaj swoim kosztem, raczej kupić to było ciężko, tylko mieliśmy takie... Jak tutaj powiedzieć? Przydziały, o, na maszyny, jakieś rolnicze, które są, tak jak Żuk, czy inny taki dostawczy samochód, to na nich mieliśmy takie przydziały. Z tych przydziałów właśnie to paliwo, żeśmy dawali na to, żeby Związek miał na czym jeździć.

A jak było z samochodem, bo kupiliście też raz w Związku.

Marian Szeląg: No właśnie, jeszcze potem, bo Wiaka samochód był, co był najbardziej jeżdżony, później żeśmy złożyli, doszli do tego, żeby kupić samochód dla związku. No taka propozycja wyszła, według nas trzech, których mówiłem: Wiaka, Sieklickiego i mnie – Szeląga. To my trzech żeśmy to złożyli i złożyliśmy się na te, wtenczas, pamiętam, po 10 tysięcy coś tam wychodziło, to jeszcze takie było, ale tego dokładnie nie mogę powiedzieć, tylko żeśmy dali na ten samochód i na związek żeśmy kupili ten samochód.

Co się stało z tym samochodem?

Marian Szeląg: Natomiast później, później po, jak już...

Stan wojenny wprowadzono?

Marian Szeląg: Jak stan wojenny nastał, to tego, ten samochód chcieli nam zabrać. No i tak krążyli, krążyli, że no zabrali. A zanim zabrali, to było takie, do mnie przyjechali, bo u mnie akurat w ostatnich chwilach, był do mnie ten samochód postawiony. Dostałem wezwanie na Mościska tam, do tej, tej, tej... nie wiem. – Do komendy tam. – Tak, komenda główna tam jakaś była. No pojechałem tam do nich. No i pytają się, czy mamy samochód. No mówię: „– Mamy, bośmy kupili, no mamy samochód.

A gdzie jest?

Marian Szeląg: No gdzie? No u mnie jest”. Zanim ja do domu przyjechałem, to już u mnie był ten Jaworski, po ten samochód, on już czekał przy tym samochodzie. I zostawił takie pismo, że to związkowy, wymienił to wszystko, że to był związkowy, kupiony prywatnie. Tylko, że chcieli zarobić na tym samochodzie mocno teraz. Chcieli zarobić i dlatego oni zabierają ten samochód. Więc napisał to pismo, przeczytałem, no dobra. Ale ja napisałem taki, że tak... że to jest wymuszone. On tego nie zauważył nawet. I na tej kartce było, co pisał, to było nawet tego. No ale przyjechali, zabrali, dobra, zabrali ten samochód. Potem przyjeżdżają we dwóch do mnie, z tej komendy, Jaworski i jeszcze jeden przyjeżdżają. Aha, bo ja im mówiłem, bo pytali się, co tam ja mam. Ja mówię: „– Przyjedźcie za jakiś czas, to was poczęstuję”. No i więc przyjechał ten Jaworski, przyjechał drugi z nim. No ja przyjąłem ich, zaprosiłem ich po prostu. Przyjąłem ich, postawiłem im to, co mówiłem, że im obiecałem. Ale Jaworski zamiast poprosić tego kierowcę, którego z sobą miał, sam przyszedł. Siedzi, siedzi ze mną z godzinę, pyta się, a potem tak chodzi: „– A dobra, a co byście chcieli zrobić? Tak Wy jako związek, wy jako Solidarność”. Ja mówię: „– Siły międzynarodowe, granice pootwierać, niech każdy będzie wolny. – O, nie za wiele?” No więc, no i tak się spytał. Jeszcze gadamy, gadamy o tych wszystkich takich innych sprawach. Wreszcie ten z samochodu przychodzi, bo ja mówię: „– Słuchaj, bo w tym samochodzie nam zmarznie – bo to była zima. – Co cię obchodzi?” Zdążyłem to powiedzieć, ten wchodzi: „Słuchaj, jedziesz, czy nie? Bo cię zostawiam”. To się poderwał od razu i poszedł, wsiadł i nawet „do widzenia” nie powiedział. I od tamtej koniec, skończyło się wszystko.

Proszę powiedzieć jeszcze, czy tutaj miał Pan do czynienia z jakąś prasą drugoobiegową, ulotkami, jakimiś drukami ulotnymi?

Marian Szeląg: No jeszcze podczas tego stanu wojennego, to z Marianem Wiakem, żeśmy całe Błonie oblepili ulotkami. Tego jeszcze nikt nie wiedział, kto to zrobił. Marian siedział w samochodzie, mi wydawał, ja tylko przyklejałem tam, gdzie uważałem, to przykleiłem, przy komendzie nawet przykleiłem. Jeszcze później na komendzie miałem takie wezwanie, to przyjechał jakiś prokurator, ja go z widzenia trochę znam, gdzieś trochę był, ale on mnie dobrze znał nawet. Nie wiedziałem, kto to jest. I przyszło na komendę „ściśle tajne”, z komendy do mnie tam, bo znają się ze mną, korzystali ze mnie i dzwonią do mnie: „– Słuchaj, Marian, jakiś przyszło pismo ściśle tajne, nie wiem, co tam może być”. Ja mówię: „– No ja też nie wiem, co może być”. A później właśnie dostałem to wezwanie tam, tutaj do Błonia, ten prokurator mnie wzywa: „– Słuchaj, przestań jeździć. – To co, mam pieszo chodzić? Przecież pieszo nie będę chodzić. – Ale to nie o to chodzi. Dożynki będą”. No to mówię: „– Dożynki, to jest w mojej wersji mówię, to dożynki

są chyba dla rolników, nie? – No tak, ale żebyś tam gdzieś nie pojechał, gdzie nie potrzeba. – Gdzie nie potrzeba? To znaczy co, gdzie? – Więc nie odpowiedział mi, ale mówił: „– Nie jeździj, nie jeździj. – Ja będę jeździł, bo pieszo nie będę chodził”. No i na tym się skończyło, nic więcej nie było, myślałem, że to będzie coś gorszego, ale nie było, tak że w porządku zostało.

A jak byś ocenił te nasze wtedy działania? Miały one sens, nie miały sensu? Ludzie się odwracali, czy wprost przeciwnie wspomagali? No bo jak to z perspektywy czasu widzisz?

Marian Szeląg: Z perspektywy czasu każdy po prostu był ciekawy, po prostu coraz więcej, tak że było więcej ludzi takich zainteresowanych. Nie to, że tam tego, każdy się bardziej interesował, co który tam był taki podatny, jak to się mówi, na zmianę, na przyszłość jakąś lepszą, to nie powiem, bo było, no nieraz to było tak, że po prostu zabrakło miejsc do siedzenia.

Czyli odzew był można powiedzieć, duży, jeżeli chodzi o tą działalność związkową tutaj i na wsi i w okolicach?

Marian Szeląg: No tutaj, to znaczy odzew, co tutaj był, co myśmy zaczęli, co Gabriel był u mnie i cośmy zaczęli, to jest pierwsze, które żeśmy zrobili, pierwsze w Polsce. Dopiero stąd się zaczęło roznosić. To z tych ulotek pewnie, co tam żeśmy porozwozili, to była też taka jakaś tam przekazana wiadomość w tych ulotkach. Tak że to się rozniosło. Trudno sobie wyobrazić, że tak ludzie się po prostu zjednoczyli. Ten samochód, który miałem, to był z ambasady amerykańskiej. A kupiłem go od pracownika ambasady. Bo akurat tam mam możliwość kupić. No i potem to sprzedawał. A więc po znajomości, nie pamiętam to jakiej, ktoś znał mnie i chciał, przyjechał i mówi: „Kupuj ten samochód”. No ja pieniądze miałem, mówię: „No to kupię”. Kupiłem. Przez jakiś czas, dłuższy czas nim jeździłem. Nawet do Ojca Świętego... przed tym... ojej...

Do Niepokalanowa? – On to był Wyszyński, tak?

Marian Szeląg: Tak. – Przed... O, do Ojca Wyszyńskiego, bo moja córka, moja... tego córka, moja siostra jest zakonnica. I tu w tym... w Pustelniku był biskup. To arcybiskupem był, prawda?

Kardynałem.

Marian Szeląg: Kardynałem, o!

Kardynał Wyszyński.

Marian Szeląg: Kardynał Wyszyński wtenczas był, właśnie. To wtenczas też, prawda, ja przyjechałem tym samochodem, to stanął, potem siostry się pyta: „Skąd ten samochód?” No więc ona mówi: „No to mój brat, kupił i jeździ tym samochodem”. To w Błoniu się nie podobało niektórym ormowcom, bo było takie jedno zebranie: „Też żółte,

z tą żółtą rejestracją, to tu nie będą się kręciły samochody”. Ale nikt się nie przyczepił, nikt naprawdę, no nie wiem. A ja nie miałem ani... Jeszcze jak jeździłem, to jeszcze nie byłem takim właścicielem, tylko taka umowa była, niezarejestrowana w ogóle. A, jeszcze co, po tych... Jak przyjechałem, nie mogli dojść, kto to miał ten samochód, bo to stało jeszcze do tego pracownika, ten pracownik z ambasady. Ciągnął się rok czasu, zanim mnie wykryli. Bo tak, no to były te... No po prostu ja to nie rejestrowałem go w ogóle. Tak jak był, tak był.

A może jeszcze raz przywołasz, jak ludzie, jak te ulotki rozdawaliśmy, jadąc do Wierchosławic i brali, ale tak patrzyli dziwnie, co to za taki wypasiony samochód. Podchodzili też.

Marian Szeląg: No tak, wtenczas, jak byliśmy w Wierchosławicach, no to każdy spojrzał i mówi: „Co to za Ameryka przyjechała jakaś tu do nas, co oni przewrót robią, czy co?” Nie wiedzieli o co chodzi. Każdy się pyta, „skąd ten samochód?” Ja mówię, że z Błonia samochód, ale to jest z Błonia, to z ambasady amerykańskiej. No to była taka odpowiedź na to, co się pytali.

Ale to, co mówiłeś tam wcześniej, jeszcze może powtórzysz, o tych ulotkach jak rozdawaliśmy i później tam na tej mszy też, że ludzie tak bardzo chętnie brali i pytali.

Marian Szeląg: A no jadąc po drodze... – I ja tam robiłem tak... – Jadąc po drodze, gdzie były jakieś tam skupiska, co robili tam przeważnie mleczarze, tam były takie duże zlewnie, to najwięcej to. To jak żeśmy stawali, to każdy po prostu nie wiedział, co się dzieje. Że Ameryka jeździ w Polsce i tutaj robi jakiś przewrót, czy co. Każdy był taki zdziwiony. Wychodzą, tu chłopcy i Polska, a amerykański samochód. Nie wiedzieli, o co chodzi. To była taka zmyłka, że na tej zmyłce żeśmy wyszli tak dobrze, ze względu na to, że ten samochód nas uratował wiele.